

Agnieszka
Lingas-Łoniewska

Kiedy cisza stała się **jedynym wybawieniem**

KATAN

początek

GANGSTA PARADISE

JakBook

Agnieszka
Lingas-Łoniewska

KATAN
początek
GANGSTA PARADISE



Zapraszam do kolejnego spin-offu ze świata Gangsta Paradise. Tym razem przedstawię historię Jędrzeja Katańskiego, czyli Katana. Poznacie jego tragiczną przeszłość oraz więcej szczegółów z bolesnego dzieciństwa. Dowiedziecie się o początkach działań w organizacji Reno, przyjaźni z Pako, o tym, jak poznał Alinę. Następnie przeniesiecie się w przyszłość i zobaczycie, jak wygląda życie Katana z żoną i synem. I z pewnością zadacie sobie pytanie, czy będzie w stanie wybaczyć swojej matce to, co mu zrobiła.

PROLOG

Słyszę te obrzydliwe odgłosy i gdybym mógł, zatkałbym sobie uszy, ale należy to najpierw zrobić mojemu braciszкови. Nie chcę, aby to słyszał. Niewiele jeszcze rozumie, ale już pojmuję, że jak do mamy przychodzą panowie, to musimy być cicho. Mama ciągle chodzi w sposób, jakby spała, czasami się do nas uśmiecha, ale ten uśmiech jest taki, jakby wcale mnie ani mojego małego brata nie widziała. Jakby śmiała się do kogoś, kogo widzi tylko ona. Mama robi sobie często zastrzyki, chyba jest chora. Wpuszcza w żyłę dziwny płyn, to chyba jakieś lekarstwo. Robi to zawsze po wizycie tych brzydkich panów. Kiedyś widziałem, jak jeden z nich dał jej pieniądze po tym, jak wyszli z sypialni. I ona gdzieś szybko poszła, a potem wróciła z takim wujkiem, co często przynosi jej lekarstwa. On zawsze mówi nam, żebyśmy spadali do pokoju, więc to robimy. Ale kiedyś podejrziałem przez szparę w drzwiach, że ten wujek pomagał mamie robić zastrzyki. Nie wygląda na lekarza. Ale może się nie znam, mam dopiero sześć lat, a mój brat, Jacuś, cztery.

Wiem, że muszę go chronić. Bo czuję, że najbardziej zły człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkaliśmy, niebawem pojawi się w naszym smutnym, brudnym domu na przedmieściach Wrocławia.

*

Kończyliśmy z Pako liceum i już wiedzieliśmy, co chcemy robić w życiu. Pako trafił pod skrzydła organizacji Reno i wciągnął też mnie – chociaż nie przyszło to łatwo, gdyż trudno było się ze mną porozumieć. Leon Gola okazał się wyrozumiałym szefem, dla którego liczyły się lojalność, spryt, charyzma. A to akurat posiadałem. Piotr Pakosławski, czyli Pako, to mój jedyny przyjaciel i także jedyna osoba, z którą potrafiłem w miarę normalnie rozmawiać.

Zostały nam cztery miesiące do matury, uczyliśmy się... No okej, wcale się nie uczyliśmy. Obaj mieliśmy doskonałą pamięć, a ja wręcz fotograficzną. W szkole ledwo przechodziłem z klasy do klasy, bo nie potrafiłem odpowiedzieć na najprostsze pytania. Na sprawdzianach pisemnych specjalnie robiłem błędy, bo zdawałem sobie sprawę, że kiedy normalnie udzieliłbym odpowiedzi na te banalne dla mnie pytania, od razu by mnie podejrzewali o ściąganie. Pod koniec szkoły już zarabiałem, pisząc prace na zaliczenie dla ludzi na polibudzie.

W podstawówce wyzywano mnie od debili i potem Pako często wpadał w kłopoty, bo radził sobie z tym problemem za pomocą pięści. Wiele razy prosiłem go, aby odpuścić. Sam też mógłbym zrobić porządek z tymi idiotami, ale szkoda mojej energii. Do budy chodziłem, bo nie chciałem sprawiać problemów mojej rodzinie zastępczej, czyli rodzicom Pako. Wzięli mnie do siebie, gdy mojej matce ópuncie odebrano prawa rodzicielskie. Byłem im to winien, dlatego chciałem jak najmniej kłopotów sprowadzić na siebie i na nich.

W liceum było trochę lepiej, ale szybko zyskałem miano dziwaka i większość ludzi z klasy i generalnie ze szkoły starała się mnie unikać. To znaczy tak – większość facetów, bo jeśli chodzi o dziewczyny... One to dopiero były dziwne! Nigdy się do żadnej nie odezwałem, nie patrzyłem im w oczy, a kiedy już musiałem z jakąś zamienić kilka słów, to najczęściej wypuszczałem z siebie monosylaby. A one i tak ciągle mnie zaczepiały, zapraszały na imprezy i próbowały się zbliżyć. Pako miał swoją teorię i udzielał rad, z których nie zamierzałem skorzystać. Często siedzieliśmy na dachu garażu, koło domu Pakosławskich, paliliśmy fajki lub blanty albo coś popijaliśmy. I kumpel tłumaczył mi ten pojebany świat.

– Nie musisz z nimi rozprawiać o całkach. Czy innym matematycznym gównie, które kochasz. Wejdz, wyjdź, powiedz „nara” i tyle.

– Wolę to robić z kurwami.

– No tak, rozumiem. Ale jak dziewczyny są zainteresowane, to dlaczego odmawiasz im tej przyjemności?

– Nie wiem, czego ode mnie chcą, przecież nie gadam z nimi i jestem sobą. – Wzruszyłem ramionami.

– Stary, widziałeś się w lustrze? – Pako pokręcił głową.

– No, dzisiaj rano.

– To tam znajdziesz odpowiedź. – Przyjaciel wałnął mnie w plecy i podał piwo.

– Odbicie lustrzane powie mi to, co sam wypowiem. A to niewiele.

– Czasami strasznie mnie wkurwiasz. – Pako westchnął i wziął potężny łyk piwa.

– A to już twój problem.

Tamtego dnia poszedłem na zajęcia bez przekonania, że szkoła w ogóle coś mi da. Ale musiałem to zrobić, bo frekwencja stanowiła podstawę wystawienia pozytywnej oceny z zachowania i w związku z tym dopuszczenia do matury. Poza tym... wraz z Pako działaliśmy już w gangu Reno i nie chcieliśmy ściągać na siebie uwagi ani wychowawców, ani starych Piotrka. To był zwykły dzień – musiałem siedzieć osiem godzin na bezsensownych zajęciach i słuchać bełkotu zmęczonych pracą, życiem i zarobkami nauczycieli. Pewnie by się nieźle wkurwili, gdyby się dowiedzieli, że tyle, co oni w miesiąc, ja zgarniam w tydzień. Głównie zarabiałem na handlu trawą, tabsami albo zbierając wpływy z pubów, kasyna i kilku nocnych klubów z paniami otwartymi na świat.

Teraz siedziałem w ostatniej ławce z Piotrkim i myślałem o tym, że pod wieczór musimy pojechać do jednego z klubów, aby rozliczyć dostawców. Reno stawiał na lojalność i nie dopuszczał do sytuacji, w której ktokolwiek mógłby nas wykiwać. A jeśli już coś takiego miało miejsce, nie kończyło się to zbyt dobrze dla delikwenta. Po naszej ostatniej wycieczce nad świebodzickie kamieniołomy mało kto chciał podpaść bossowi i w sumie bardzo mnie to cieszyło, bo nie miałem cierpliwości, by wysłuchiwać jęków i błagań. Załatwiłbym szybko sprawę swoimi nożami, którymi posługiwałem się po mistrzowsku, ale Reno miał w sobie coś z drapieżnika. Lubił bawić się jedze-

niem.

Spojrzałem na przyjaciela, pisał wiadomości z jakąś laską, którą czarował ostatnio w pubie, którego właścicielem był nasz szef i przyjaciel. Uśmiechnąłem się pod nosem i spojrzałem na tablicę. Nauczycielka matematyki tłumaczyła potęgowanie. Znałem wynik, zanim ona zdołała dojść do znaku równości. Dawno temu przestała mnie odpytywać, uznając, że jestem strasznie słaby z tego przedmiotu. Świadomie robiłem błędy na sprawdzianach, jednocześnie zgarniając hajs od tępych studenciaków, którym pisałem prace na zaliczenie. Kilka razy złapałem także nauczycielkę na błędach, ale oczywiście tego nie zgłosiłem. Miałem wrażenie, że ona się mnie boi – jakby wyczuwała, że wszystko, co pokazywałem na zewnątrz, to fałsz. Była naszą wychowawczynią i zapewne już nie mogła się doczekać, kiedy skończymy szkołę i opuścimy jej mury.

Nie stanowiliśmy łatwej klasy. Dużo bogatych dzieciaków, kilku kujonów z ambicjami, parę ofiar losu, no i Piotrek oraz ja. Dwie czarne owce. Piotrka mieli za idiotę i wesołka, a mnie za debila z autyzmem. Słyszałem, jak o mnie mówiono. Jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, że ludzie autystyczni są cholernie inteligentni. Ale nie zmieniało to faktu, że generalnie wszyscy trochę się nas obawiali. Doskonale wiedzieli, że siedzimy po ciemnej stronie miasta i niektórym to nawet imponowało. Ale my z nikim się nie brataliśmy, trzymaliśmy się na uboczu. Mieliliśmy swój świat, a szkoła do niego nie należała.

Po matmie zaczęła się godzina wychowawcza i wówczas zobaczyłem tę dziewczynę po raz pierwszy. Wprowadziła ją nauczycielka i przedstawiła jako nową uczennicę.

– To Joanna Kalisiak. Przeniosła się z Częstochowy. Będzie z nami do końca roku szkolnego, przywitajcie ją i bądźcie mili.

Dziewczyna pochyliła się, a jasne włosy dotknęły jej ramion. Była trochę przy kości, miała ładną twarz i cholernie niebieskie oczy, prawie lazurowe. Ubrana w zwykłe džinsy, bluzę z jakiś napisem, powycierane adidas, w ręku ścisnęła wysłużony plecak. Zerknąłem na Piotrka. On także wpatrywał się w nową uczennicę. Potem zwrócił wzrok na mnie.

– No, no, będzie ciekawie – mruknął, pokręcił głową i znowu zaczął klikać w telefonie.

Wiedziałem, co ma na myśli. Znałem nasze złote dzieci z klasy. Pięć dziewczyn spod okna rządziło szkołą, a goście z drugiego rzędu, którzy grali w koszykówkę, potrafili uprzykrzyć życie każdemu. No, może oprócz mnie i Pako oczywiście.

Nie trzeba było zbyt długo czekać na akcję ze strony naszych klasowych gwiazd. Już na przerwie otoczyli Joannę i zaczęli wypytywać, gdzie mieszka, dlaczego się przeniosła i tym podobne. Spokojnie odpowiedziała, że po śmierci ojca matka postanowiła wrócić do Wrocławia, bo stąd pochodzi i tu mieszka jej siostra, czyli ciotka Asi. Powinienem ją ostrzec, żeby się tak nie otwierała przed tą bandą sępów, ale, po pierwsze, niewiele obchodzili mnie inni ludzie, a po drugie, ja nie mówiłem. Oczywiście potrafiłem, ale nie chciałem.

Od dzieciństwa miałem problem z komunikacją. Doskonale wiedziałem, czym był spowodowany, ale to okazało się silniejsze ode mnie. Jakby... wszyto mi pod skórę jakiś rozkaz, abym nie mówił. Bo tak właśnie to wyglądało. Wciąż pamiętałem ten rozkaz, cholerne polecenie wypowiedziane wściekłym, syczącym tonem. Były osoby, przy których trochę się odblokowywałem – Pako, Reno, Miętus. A także moi dilerzy, którym przekazywałem krótkie komendy. Ale to wszystko. Dlatego sypiałem z kurwami. One mnie znały i nie naciskały na to, abym gadał o jakichś pierdołach. Ważne, że płaciłem i dobrze się pieprzyłem. To się liczyło. Pasowało i mnie, i im.

– Ale nie masz iPhone'a? – Gabi, nasza przewodnicząca, parsknęła. – Daj spokój, kto teraz na androidzie leci?

– Odpuść, Gaba. – Jej przyjaciółka, Tośka, stosowała swój zwykły sposób: na dobrego i złego glinę. Stałem niedaleko, założyłem kaptur od bluzy na głowę i obserwowałem scenkę. Pako poszedł gdzieś zadzwonić, pewnie do tej laski, z którą pisał. – Może wpadniesz do Arcziego w sobotę na party?

– Arcziego? – Ta cała Aśka była nieco zdezorientowana i bardzo zagubiona, ale uśmiechała się nieśmiało.

Zeżrą ją.

To pewne.

– Do Artura. – Tośka wskazała wysokiego koszykarza, który szarpał Jaśka i próbował go podrzucić do kosza niczym piłkę. Jasiek miał metr sześćdziesiąt pięć i był najniższym chłopakiem

w całej szkole. Wiele razy padał ofiarą złotych dzieci.

W sumie rządzą wszystkimi. Jedynymi osobami, od których trzymali się z daleka, byłem ja i mój przyjaciel. Oczywiście na początku wiele razy się do mnie przyczepiali, ale Pako szybko ich usadzał. Pewnie wolał sam się tym zająć, niż gdybym ja miał to zrobić. Wystarczyłoby kilka szybkich ruchów rękami. Noże idealnie wykonywały moje polecenia. No tak, to nie byłoby rozważne. Z tym musiałem się zgodzić, dlatego pozwoliłem, by Pako załatwiał takie sprawy. Jednak od momentu, gdy Gabryśka i Tośka kiedyś trafiły do klubu PantaRhei, z którego właścicielem byliśmy zakumuplowani, i tam zobaczyły mnie i Piotrka, całe to towarzystwo zaczęło darzyć nas niezdrową fascynacją. Oczywiście załatwiłem im dożywotni zakaz wstępu do tego lokalu i każdego innego, w którym mieliśmy wpływy, a było ich coraz więcej. Ale od tamtej pory staliśmy się czymś na kształt legendy, swoistymi reprezentantami zakazanego świata, do którego chętnie nasze koleżanki by weszły. Ale marne szanse.

– Nie wiem... – Joanna pokręciła głową, a ja wróciłem do przysłuchiwania się tej rozmowie.

– Muszę spytać mamy.

Gabryśka parsknęła, ale Tośka zgromiła ją wzrokiem.

– Jasne, spoko. Jesteś nowa i pewnie matula się martwi. Jak chcesz, możesz dać matce mój numer, pogadam z nią.

– Nie, poradzę sobie. A gdzie ta impreza?

– Wyślę ci namiary. Puść mi strzałkę. – Tośka podyktowała nowej dziewczynie numer, ta go zapisała i po chwili puściła sygnał ze swojego telefonu.

Powinienem jej powiedzieć, że to idiotyczny pomysł, ale w sumie... Dlaczego miało mnie to w ogóle obchodzić?

W tym momencie podszedł Pako. Zerknął na dziewczynę, a potem na mnie.

– Co masz taką minę? – Zaniepokoił się.

– Normalną. Wkręcając nową – poinformowałem krótko.

– Aha. Normalka. – Nie wydawał się szczególnie tym przejęty. – Dzisiaj wieczorem w Jedyńce – zwrócił się do mnie.

Jedynka była naszym kasynem znajdującym się na Szewskiej, blisko wrocławskiego rynku. Reno bardzo lubił centrum miasta, powiedział, że kiedyś otworzy tam najmodniejszy klub we Wrocławu i byliśmy pewni, że tak właśnie się stanie.

– A co się urodziło?

– Boss wzywa.

– Okej.

Nigdy nie zadawałem zbędnych pytań. To Reno cenił. A także szybkość działania, natychmiastową reakcję, brak zbędnych uwag.

Do kasyna dotarliśmy około dwudziestej pierwszej. W środku panował tłok, bawili się stali bywalcy, turyści, widziałem też kilka nowych twarzy. Przywitaliśmy się z Młodym, który zarządzał ochroną, i poszliśmy na zaplecze, gdzie urzędował szef kasyna, a także nasz boss, kiedy tutaj przebywał. Dzisiaj także był i sprawdzał jakieś dokumenty.

– Musimy przetrzepać Kozaka. Nie podoba mi się kilka rzeczy. – Reno odłożył papiery i zawiesił wzrok na nas.

Kozak to menadżer Cassandry, nocnego klubu z laskami, które tańczyły na rurach i wykonywały prywatne tańce dla szmalownych gości.

– Robi na boku? – spytałem cicho.

– Na to wygląda. Klientela wzrosła tam o trzydzieści procent, a wpływy z prywatnych tańców spadły. Jak to możliwe?

– A Kozak wyjaśnił to jakoś? – Pako usiadł w fotelu i zaczął bawić się komórką.

– Niby występy na scenie przyciągają, a cena za priv jest zbyt wysoka. A ja sądzę, że Kozak postanowił przykoczycić i zbiera hajs z tego do własnej kieszeni. – Reno utkwiał wzrok we mnie. – Ciebie nie zna, Katan.

Wiedziałem, co mam robić.

– Pójdę tam. – Pokiwałem głową.

– Sprawdź, co ci zaproponuje, zapytaj o taniec na priv i zobaczysz, jak to załatwiają.

– Jasne, boss.

– Pojedziemy razem, wezmę Miętusa i dwóch żołnierzy – odpowiedział Pako.
– Tylko wejdźcie osobno, żeby was nie skojarzył.
– Będę udawał, że się nie znamy – mruknąłem.
– Tylko nie rób tych swoich morderczych min, bo laski uciekną. – Pako uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Jakich min? – Wzruszyłem ramionami.
– Jakbyś chciał wszystkich pociachać na kawałki.
– Bo chcę.
– Dobra, zajmijcie się tym, wtedy, gdy największy tłum. – Reno westchnął.
– Tak jest, boss.

Kiedy wyszliśmy z kasyna, zamyśliłem się. Kroczący obok Pako lekko mnie szturchnął.

– Co jest?
– Wiesz, gdzie mieszka ten Artur? – zapytałem nieoczekiwanie.
– Jaki? – Piotrek zamrugał i potrząsnął głową.
– Od nas z klasy.
– Mogę wiedzieć. – Wzruszył ramionami. – A po co ci to?
– Pójdziemy na tę imprezę.

Kumpel zatrzymał się i popatrzył na mnie zdumiony.

– Czy ja dobrze słyszę? Chcesz iść na imprezę do tych młotów?
– Właśnie tak.
– A mogę spytać dlaczego?
– Bo muszę coś sprawdzić – odparłem i ruszyłem do czarnej beamki, którą jeździłem.
– Niby co? Brak ilorazu inteligencji Arcziego?
– To już wiem, że tam wiatr hula – mruknąłem. – Chcę mieć na oku tę nową dziewczynę.
– Wpadła ci w oko? – Pako popatrzył na mnie uważnie.
– Nie. Nie twórz historii. Wydaje mi się, że ona potrzebuje wsparcia. Sprawdź ją.
– Serio? – Pokręcił głową.

Wsiedliśmy do samochodu i od razu odpaliłem silnik.

– Serio.

Przyjaciel potaknął i wiedziałem, że się tym zajmie. Pako genialnie poruszał się po ciemnej stronie internetu, potrafił włamać się wszędzie i dowiedzieć się wszystkiego o wszystkich. A ja miałem szósty zmysł. I czułem, że dziewczyna ładuje się w jakieś szambo. I wygląda na taką, u której w domu nie jest zbyt wesoło. Wiedziałem o tym, skrzywdzonego dzieciaka wyczuwałem na kilometr.

*

Następnego dnia wieczorem zawitałem do klubu Cassandra. Być już trochę klientów, paru biznesmenów, jakaś grupka młodziaków na wieczorze kawalerskim, sporo starszych gości. Zająłem miejsce blisko baru z podestem do tańców na rurze, zamówiłem chivasa, położyłem komórkę obok złotej papierośnicy i takiej samej zapalniczki. Wyjątkowo włożyłem garniak od Armaniego, śnieżnobiałą koszulę i eleganckie włoskie buty. To był zwykły outfit Pako, ale dziś musiałem udawać młodego japiszona, z kasą i chęcią dobrej zabawy. Dziewczyny zaczęły występy około dwudziestej drugiej, w klubie zrobiło się tłoczno. Zauważyłem sporo facetów wchodzących do prywatnych łóż. Nie szli tam przecież czytać Dostojewskiego... Napisałem wiadomość do Pako. Potem oglądałem pokazy i rzucałem dwusetki w kierunku ładnej jasnowłosej dziewczyny. Nie musiałem długo czekać – wkrótce pojawił się Kozak i zaproponował przejście do prywatnych pokoi. W klubie panowała taka zasada, że za wszelkie dodatkowe usługi (sypanie z klientami było oczywiście zabronione, ale prywatne tańce już nie) płacono się w kasie głównej. Ale okazało się, że pan Kozak miał inne podejście do tego biznesu.

– Widziałem, że spodobała się panu Lily. Zaraz przyjdzie.
– Jaki koszt? – spytałem spokojnie.
– Tysiąc złotych.
– Płatność tam? – Wskazałem na wyjście do sali głównej.
Mały grubasek uśmiechnął się, pokazując złoty ząb.
– Za prywatne tańce płaci się u mnie.

- Okej.
- Z góry.
- Proszę. – Dałem mu tysiąka.

Potem obejrzałem występ dziewczyny, która była całkiem ładna i ruszała się też niezłe. Ta cała Lily chciała potem jeszcze bardziej uprzyjemnić mi wieczór, a właściwie noc, ale podziękowałem. Spojrzałem na zegarek i wiedziałem, że Pako już zaraz pojawi się w lokalu. Wkrótce wraz z nieodłącznym Miętusem wparował do gabinetu Kozaka, za nimi weszło trzech naszych żołnierzy, a na końcu pojawiłem się ja. Gdy facet mnie ujrzał, zbladł.

– Ale co? Co jest, kurwa? Pako? – Strzelał oczami i cały się trząsał.

– Zrobiłeś sobie tutaj niezły biznes, Kozaku cwany. – Piotrek rozglądał się po beznadziejnie urządzonym biurze.

– Co?

– Głuchy jesteś? Może kasa, którą ukradłeś naszemu bossowi, przytknęła ci uszy. Katan ci pomoże je odetkać. Albo ci je utnie. – Pako zaśmiał się głośno.

Gdy Kozak usłyszał moją ksywkę, skumał, w jak głębokim, gównianym bagnie brodzi.

– Ja... nie wiem...

– Jesteś jebanym złodziejem – powiedziałem cicho. Sięgnąłem do nogawki i wyjąłem nóż z ukrytej tam pochewki. Podrzuciłem go i cisnąłem w kierunku grubasa. Krzyknął przerażony, a ostrze wbiło się w biurko, tuż przed nosem tego pierdolonego oszusta.

– Błagam, ja oddam, Wszystko... – Zaczął chlipać.

Spojrzałem na Piotra.

– Masz tu sejf? – spytał smarkającego koleś.

– Tak, mam!

– Otwieraj. Właśnie płacisz pierwszą ratę do banku Reno spółka z o.o.!

*

W piątek pod koniec zajęć podeszliśmy z Pako do Gabryśki i Tośki, które stały razem z Arczim, Natanem i Marcinem. Umawiali się na sobotę. Nowa Joaśka już wyszła z klasy, wcześniej zapewniwszy Gabę i jej ekipę, że nazajutrz na bank pojawi się na imprezie.

Gdy zbliżyliśmy się do naszej „elity”, widziałem zaskoczenie, strach, a także fascynację na twarzach zebranych. Ja oczywiście się nie odzywałem. Czułem na sobie spojrzenie Gabryśki, wprost pożerała mnie wzrokiem.

– Ta impra u ciebie to o której? – Pako popatrzył na Artura. Ten zrobił wielkie oczy, ale za chwilę już przybrał swoją zwykłą pozę zblazowanego, bogatego luzaka.

– Na dwudziestą wszyscy się schodzą.

– Wjazd otwarty? – Pako przyglądał mu się uważnie, a ja zauważyłem, że złotemu chłopcu zdrząły dłonie.

– No dla was zawsze. – Arczi szybko zerknął na mnie i czym prędzej odwrócił wzrok.

Typowe.

– To będziemy. – Przyjaciel spojrzał w moją stronę z rozbawieniem, a ja przytaknąłem.

– Super! Do zobaczenia! – Gabryśka prawie podskoczyła.

Kiedy wyszliśmy z budynku i zmierzaliśmy do samochodu, Pako śmiał się pod nosem.

– Z czego? – rzuciłem.

– Gabi już zmoczyła majtki. Daj jej to, czego chce od trzech lat.

– Nie jestem zainteresowany.

– Daj spokój, ona pływa na twój widok.

– Jej problem. – Wzruszyłem ramionami.

– A ta nowa też nie? Nie jesteś zainteresowany?

– Odczep się. Ja ci nie mówię, z kim masz się bzykać – mruknąłem.

– Po prostu martwię się o mojego Katanka.

– Niepotrzebnie. A nowa... Masz coś na nią? – Zerknąłem na kumpla.

– Mam. W domu ci pokażę.

Na szczęście starych Piotrka nie było, prowadzili dużą firmę z designerskimi meblami, więc non stop w niej przesiadywali. Mieliśmy niepisaną umowę. My się uczymy i nie wpadamy w kłopoty, oni nie wiszą na nas. W sumie mi odpuścili bardziej, ale Piotrek był ich synem. Po stracie

córki, znaczy po tym, jak odwróciła się od nich po wydarzeniach z przeszłości, wszelkie nadzieje pokładali w Pako. A on już miał swój plan na życie i na pewno nie uwzględnił on zasiadania w zarządzie firmy ojca.

Zajmowaliśmy dwa sąsiadujące pokoje na poddaszu, mieliśmy też wspólny taras, na którym często nocami leżeliśmy, obmyślając plany, jak zawładnąć światem. A przynajmniej tym miastem.

– No to mów – powiedziałem do Piotrka, kiedy weszliśmy do mnie.

– Laska faktycznie mieszkała w Częstochowie. Jej stary się powiesił, zostawił im w chuj długów. Matka pracuje w urzędzie, mieszkają na Ołbinie, stara kamienica, poniemiecka. Lubi sobie wypić. Matka, nie kamienica, of course.

– Alkoholiczka? – spytałem zimnym tonem.

– Taka od lat, wiesz, niezdiagnozowana. Rano małpka do pracy, potem kilka piw, wieczorem wino, zasypia w fotelu. Budzi się, bierze prysznic, jedzie do roboty, po drodze kupując małpkę.

– Standardowe. W końcu jesteśmy największym konsumentem małek w Europie. – Pokiwałem głową.

– No więc ta twoja Joasia wesoło nie ma.

– Żadna moja. Dobrze wiesz, dlaczego to robię. – Zmarszczyłem brwi.

Pako spoważniał. Podszedł i klepnął mnie w ramię.

– Wiem. Sorry. Dobra, weźmy małą pod nasze skrzydła. Zaczniemy od tej imprezy.

– Tak zrobimy.

I tym sposobem w sobotę wylądowaliśmy na Ołtaszynie, gdzie w wypasionej willi mieszkał Artur Morawiak, czyli Arczi. Który był idiotą, bufonem, snobem i lubił wciągać koks. Dostał od nas powitalny prezent i już wiedzieliśmy, że mamy go w kieszeni.

– Kurwa, wszystko do waszej dyspozycji. Pełny barek, trawa, piksy, laski, co chcecie. – Cieszył się jak dziecko.

– Spoko, damy radę. – Pako walnął go w plecy.

Poszliśmy nad kryty basen, w którym szaleli ludzie z naszej szkoły. Zauważyłem też wejście do saun, a także do jacuzzi.

– Co robi stary Morawiaka? – spytałem Pako, patrząc na rozkręcający się właśnie gruby melanz.

– Za komuny był synem badylarza. Potem otworzył własne warzywniaki w Hali Targowej. Później sklepy mięsne. A skończył jako jedyny na Europę Wschodnią producent syropu.

– Ty wiesz wszystko o wszystkich? – Uśmiechnąłem się kącikiem ust.

– Kiedy postanowiliśmy tu przyjść, pogrzebałem tu i ówdzie. Wiesz, jak jest. Wolę mieć pogląd na wszystko. Joanna. – Przyjaciel wskazał dyskretnie wejście do saun. Widziałem dziewczynę w jednoczesiowym stroju prowadzoną przez Gabrysię i Tośkę do strefy domowego SPA.

– Masz ochotę na bąbelki? – Uniosłem brew.

– Za chwilę. Co ty masz jakąś schizę czy co? – Pako pokręcił głową.

– Nie, szósty zmysł.

– A to wiem. Dobra, chodźmy.

Kiedy zbliżyliśmy się do SPA, do naszych uszu dotarł śmiech, jakieś okrzyki i płacz. Gdy weszliśmy do środka, zobaczyliśmy prawie nagą Joannę trzymającą resztki porwanego stroju, pijanego Arczego i jego nabuzowany team oraz Gabrysię i Tośkę, śmiejące się głośno. Ta pierwsza nagrywała wszystko telefonem.

– Nie wiesz, że na imprezę basenową przychodzi się w bikini, a nie w jakimś stroju kąpielowym po babci? – Gabryśka zaśmiewała się głośno.

– Pomogę ci, będziesz mieć najnowszy krój! – Tośka pociągnęła oberwane ramiączko. Morawiak pochwyił wrywającą się Joannę, łapiąc ją za pierś.

Ruszyłem w ich stronę.

– No i chuj, po imprezie. – Pako westchnął i pobiegł zaraz za mną.

Walnąłem Arczego – w efekcie wpadł głową do jacuzzi, a kumple zaczęli go wyciągać. Zdjąłem kurtkę i otuliłem nią szlochającą Joannę. Pako zabrał nowiutkiego złotego iPhone'a Gabryśce i roztrzaskał go na posadzce, a potem wrzucił do basenu.

– Nie umiecie się, kurwa, bawić, widzę. – Popatrzył na dziewczyny i przestraszonych chłopaków.

– Bronicie tej sieroty? Tej biedy? – wrzasnęła Gabryśka.

Gdy wystąpiłem do przodu, wszyscy cofnęli się mimowolnie.

– Ona jest ze mną – mruknąłem, nie musiałem nawet podnosić głosu. I tak wszyscy byli cicho i patrzyli na mnie przerażonym wzrokiem. – Jeśli spadnie jej włos z głowy, wywożę was do kamieniołomów, zawinę w siatkę ogrodową i utopię – dodałem. Kurwa, wypowiedzenie tylu słów naraz bolało mnie niemal fizycznie. A moich znajomych z klasy właśnie chyba to zszokowało najbardziej. Że w końcu się do nich odezwałem!

Wszyscy wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi oczami i widziałem w ich spojrzeniach czysto zwierzęcy strach. Sięgnąłem do kostki, wyjąłem nóż, podrzuciłem i zamachnąłem się. Ostrze wbiło się w obraz Wenus wyłaniającej się z piany, umiejscowiony tuż koło głowy Arcziegio.

– Albo najpierw pobawię się nożami – dodałem z uprzejmym uśmiechem, który oczywiście nie sięgał oczu.

– Tak, Katan uwielbia bawić się nożami. – Pako z wesołą miną okrążył basen, wyszarpnął ostrze ze ściany i obrazu i po chwili podał je mnie.

– Kumacie przekaz? – spytałem cicho. Schowałem ostrze do specjalnej pochewki przy kostce.

– Tak, tak...

– Słuchajcie, my...

– Zamknąć ryje! – Gdy Pako rozejrzał się wokół, wszyscy zamilkli jak na rozkaz. – Pilnujcie się. Szkoda by było, żeby taka ładna chawira spłonęła.

Kiedy wychodziliśmy, Joanna tylko cicho szlochała. Zabraliśmy jej rzeczy, które zostawiła w pokoju obok basenu, i udaliśmy się w stronę podjazdu.

Po chwili znaleźliśmy się w mojej beemce. Ruszyłem, aby jak najszybciej ulotnić się z tej miejscówki. Asia z tyłu doprowadziła się do porządku, a teraz siedziała otulona swoją kurtką i patrzyła w szybę. Po chwili spojrzała na moje odbicie we wstecznym lusterku.

– Skrzywdzicie mnie? – spytała cicho.

– Laska, sądzisz, że uwolniliśmy cię z łap tych miękkich kutasów, żeby teraz co zrobić? – Pako się zirytował.

– Nie – odparłem spokojnie i zobaczyłem w lusterku, że wolno wypuściła powietrze.

Zawieźliśmy ją na Ołbin. Widziałem, że jest zdziwiona faktem, że wiemy, gdzie mieszka, ale nie drażyła. W sumie... mądra była.

Kiedy zaparkowałem przed jej bramą, od razu opuściła wóz. Spojrzałem na Pako, a kumpel uniósł brew.

– Sam jej powiedz. Mnie w to nie mieszaj.

Wiedziałem, dlaczego to robi. I w sumie nie byłem na niego nawet zły. Wysiadłem i podążyłem za Joanną. Odwróciła się zaskoczona i zerknęła na mnie ze strachem.

– Dlaczego tak...? – spytała, patrząc mi w oczy.

– Oni są idiotami. Zepsutymi i pustymi. Będę cię chronił.

– Ale dlaczego? Nie znasz mnie. Nie mam nic, co mogłabym... – Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Nic nie chcę. Nie lubię, jak ludzie znęcają się nad innymi. Wkurwia mnie to.

– Jesteś jakimś Robin Hoodem?

– Nie. Jestem raczej czarnym charakterem. Ale ty możesz... – Przełknąłem ślinę. Ponownie zbyt dużo mówiłem. – Możesz czuć się bezpiecznie.

Dziewczyna pokiwała głową i popatrzyła na mnie zmęczonymi oczami.

– Dziękuję ci, Jędrzej.

Pamiętała moje imię. Miłe.

– Uważaj na siebie, Joanno.

Kiedy wróciliśmy do domu, Pako uśmiechnął się i wałnął mnie w ramię.

– Dlaczego? – zapytałem spokojnie.

– Bo jesteś pieprzonym wariatem i za to cię kocham.

– Czas na wyznania, okej. – Pokiwałem głową, ale uśmiechnąłem się lekko.

Kiedy po weekendzie pojawiliśmy się w szkole, widziałem ogrom zaciekawionych spojrzeń, ale też takie niepozbowione wrogości. Byłem do tego przyzwyczajony, mój kumpel też, więc nic

nas nie dziwiło. Usiadłem na dole przy wejściu i czekałem na Joannę. Kiedy się pojawiła, podszedłem i wziąłem jej plecak. Spojrzała na mnie zaskoczona, ale widziałem w jej oczach radość. Mruknąłem do dziewczyny i poszliśmy razem na górę.

– Czepiał się ktoś ciebie? – spytałem cicho.

Pokręciła głową.

– Traktują mnie jak niewidzialną.

– I oto chodzi. Nie są ci potrzebni.

– Nie rozumiem... jak tak można... – Westchnęła.

– Są słabi, sądzą, że jak mają kasę, to mogą wszystko. – Pako wzruszył ramionami.

– Wy też... – Dziewczyna spojrzała uważnie, taksując nasze ubrania. Ja, jak zawsze, miałem na sobie czarne dżinsy, sportowe buty i skórzaną kurtkę, Pako natomiast koszulę wypuszczoną na równie ciemne dżinsy, marynarkę, a na nogach skórzane obuwie. Wszystko z wyższej półki. No i jeździliśmy do szkoły sportową beemką.

– Ale z nami jest taka różnica, że nie jesteśmy słabi i naprawdę możemy wszystko. – Piotrek się zaśmiał. – I w przeciwieństwie do tych pizd nie znęcamy się nad słabszymi.

Joanna popatrzyła na mnie, a ja kiwnąłem głową i skrzywiłem się w uśmiechu.

– Czyli co? Kumpelski pakt?

Zerknąłem na Pako.

– Tak jak mówisz, Joanno. Jesteś teraz z nami. Nikt cię nie tknie. Możesz być tego pewna.

I faktycznie Aśka do końca szkoły trzymała z nami i już żadne z naszych durnych złotych dzieci nie chciało nawet spojrzeć w jej stronę. Któregoś razu zabraliśmy ją do kasyna, a tam poznała jednego z menadżerów. Igor był spoko gościem, pracował nie tylko w klubie, ale prowadził też stację kontroli pojazdów i w ogóle miał łeb do interesów. Był cztery lata od nas starszy i Aśka wpadła mu w oko. Oczywiście zanim doszło do pierwszego wspólnego wyjścia, miał rozmowę z nami.

– Igor, podobno chcesz zaprosić naszą małą Joannę na randkę? – Pako spojrzał na faceta siedzącego w biurze Reno. Wezwaliśmy go.

– No tak. – Patrzył to na mnie, to na mojego kumpla.

– Masz siostrę? – spytałem krótko.

– Mam. Młodszą.

– No widzisz, chciałbyś, abym się z nią umówił? – Pako uniósł brew.

Igor skrzywił się, jakby coś go zabolalo.

– Nie, tak... Jednak nie.

– No więc właśnie. Mamy podobnie – mruknąłem, wyjąłem nóż i zacząłem go podrzucać. Facet z uwagą śledził błyskające w świetle lamp ostrze.

– Ja... mam dobre zamiary.

– My też. Joanna jest dla nas jak siostra – odparłem.

– I jeśli coś jej się stanie, jeśli zapłacze przez ciebie, to możesz być pewien, że wówczas Katan umówi się z twoją siostrzyczką.

– Ale najpierw zabierzemy cię na wycieczkę do kamieniołomów. – Podrzuciłem nóż i złapałem go płynnym ruchem. – Pojąłeś przekaz?

– Jasne, chłopaki. Ona... Asia naprawdę mi się podoba.

– Nie wątpię w to. Niech mile wspomina randkę. I za szybko nie startuj z łapami. – Pako uniósł znacząco brew.

– Daj się temu rozwinąć – dodałem.

– Kurwa, powinniśmy założyć poradnię randkową. – Piotrek uśmiechnął się, a ja pokiwałem głową.

– Możecie być pewni, że traktuję to poważnie. – Igor chyba się zdenerwował.

Mój kumpel podszedł i objął lekko chłopaka.

– I bardzo dobrze. Niepotrzebny jej gówniarz z brudnymi myślami. Takich już spotkała.

Okazało się, że to było naprawdę na poważnie. Aśka po maturze dostała się na studia w Poznaniu, a Igor pojechał tam za nią. A ja byłem zadowolony, że uratowałem fajną dziewczynę przed gównem tego świata.

*

Kiedy zbliżaliśmy się do otwarcia Prozaca, Reno poznał pewną dziewczynę. Miała na imię Benita i zupełnie nie wpasowywała się w klimat lasek, z którymi do tej pory go widywałem. Ale w sumie było mi to obojętne. Gdy rok później szef zaprosił nas na swój ślub, lekko mnie to zszokowało, ale Benita okazała się całkiem fajna. Miła i spokojna, w sumie idealnie uzupełniała bossa, subtelnie go przy tym wyciszając.

Impreza odbywała się nad Jeziorem Bystrzyckim, Reno wynajął tam cały pensjonat, który teraz wyglądał jak forteca. Pojechałem oczywiście sam, bo nie miałem żadnej dziewczyny. Pako przygruchał sobie jakąś pannę w Prozacu, ta miała koleżankę i Piotrek zaprosił mnie na podwójną randkę tydzień przed weselem. Uznałem to za idiotyczny pomysł, ale tak mi wiercił dziurę w brzuchu, że w końcu się zgodziłem.

– Jak znam życie, ucieknij przed dwudziestą trzecią.

– Jak nie będziesz sobą, to może nawet uda ci się dzisiaj zanurkować.

– Nie narzekam. I przynajmniej nie muszę rozmawiać. – Wzruszyłem ramionami.

To była prawda. Spotykałem się z koleżankami Rity, luksusowej call girl, która ewidentnie wodziła rozmarzonym wzrokiem za naszym bossem, ale on świata poza Benitą nie widział. Rita wiedziała, że nie lubię mówić, więc umawiała mnie z dziewczynami, które rozumiały, w czym rzecz i zajmowały się mną bez zbytniego pierdolenia. Chociaż, przepraszam, zły dobór słów. W każdym razie nie sądziłem, że kiedykolwiek pojawi się kobieta, która będzie w stanie znieść moje milczenie i nieumiejętność prowadzenia normalnej rozmowy.

Spotkaliśmy się w Prozacu. Laski wiedziały, że to nasz klub, były podjarane i bardzo chętne. Zauważyłem to już z daleka. Szedłem w stronę naszej łoży, gdzie siedział mój przyjaciel z przytuloną do siebie rudowłosą dziewczyną oraz ładna blondynka. Ja lubiłem blondynki, on rude. Tak jakoś nam pasowało. Zająłem miejsce, mruknąwszy wcześniej przywitanie, a Pako przybił ze mną piątkę i powiedział z uśmiechem:

– To mój najlepszy kumpel, Katan. Nie naciskajcie, bo nie lubi strzępić języka. A to Sonia.

– Przytulił mocniej rudą, a ta zachichotała i pomachała do mnie. – Oraz Olka. – Wskazał na blondynkę.

Ta od razu przysunęła się w moją stronę i wyciągnęła dłoń.

– Ola jestem.

– Wiem – odparłem i wzruszyłem ramionami. Dziewczyna spłoszyła się, ale zaraz wjechały drinki i jedzenie, a Pako zaczął coś opowiadać, więc zrobiło się luźniej. Ola cały czas śmiała się z żartów Piotra, łapała mnie za przedramię, przyciskała się do mnie cała i co rusz zagadywała.

– To wasz klub, słyszałam? Ale zajebisty. A czym ty się zajmujesz? Łał, jakie masz mięśnie, pewnie często ćwiczysz? Masz kogoś? Podobno nie masz z kim iść na wesele? Ja jestem wolna, bardzo chętnie ci potowarzyszę. Nieźle tańczę. Mam spore umiejętności, jakbyś chciał się przekonać, to... – Jej ręka zjechała na moje udo. Widziałem uważny wzrok Pako. Przyjaciel uniósł brew.

– Pod stół – mruknąłem, nie patrząc na dziewczynę.

– C-co? – Zrobiła duże oczy.

– Pod stół. – Spojrzałem na nią. Zamrugnęła. Uśmiechnęła się. Potem zmrużyła oczy, chyba sądząc, że jest seksy czy coś.

Nie była.

Wsunęła się pod blat. Jej koleżanka obserwowała to z rozbawieniem. Pako zaś spoglądał na mnie spokojnym wzrokiem. Znał mnie.

– I co teraz? – Dobiegło nas z dołu.

– Nic. Spadam. – Podniosłem się.

Ta cała Ola wygramoliła się na sofę.

– O co ci chodziło? – Zmarszczyła brwi.

– Sprawdzalem twoje umiejętności. Faktycznie mieścisz się pod stołem. Nara.

*

Tak więc na weselu bossa byłem sam. Pako też nie przyszedł z tamą rudą, bo podobno wkurwiła się, że obraziłem jej koleżankę. A ja przecież nawet nic nie powiedziałem!

Teraz bawiliśmy się we trójkę, bo dołączył do nas Miętus i muszę stwierdzić, że była to jedna z najlepszych imprez, w jakich uczestniczyłem z chłopakami. Może oprócz wieczoru kawa-

lerskiego, który miesiąc wcześniej urządziliśmy w Sopocie, w jednym z klubów, które Reno miał zamiar przejąć.

Krótko po północy, kiedy nasz boss ulotnił się ze swoją młodą żoną na wzór amerykańskich wesel, zaczął się melanz dla gości. Nasi żołnierze mieli już nieźle w czubie, generalnie towarzystwo zaczęło szaleć. Prochy, tabsy, trawa, wóda, wszystko w dowolnych ilościach. Siedziałem na tarasie nad wodą, piłem chivasa i patrzyłem na jezioro. Pako przygruchał sobie jakąś koleżankę Benity i bawił się z nią bardzo poprawnie, bo dostał oczywiście ostrzeżenie od Reno, żeby łapy trzymał w swojej dupie czy jakoś tak. Związki. Nie rozumiałem ich. Nie potrzebowałem. Tworzyły zbędne zależności, budziły pozorną troskę o tę drugą osobę, markowane oddanie. Ludzie byli egoistami, nastawionymi na przetrwanie, zawsze myśleli tylko o sobie. Skoro nawet matka nie potrafiła zadbać o własne dzieci, to jak pozbawiona egoizmu bliskość mogłaby połączyć obce osoby? To wszystko kłamstwa, ułuda, mrzonka. Upiłem łyk trunku i wziąłem głęboki wdech. Musiałem pozbyć się z głowy toksycznych myśli, które często dopadały mnie w różnorodnych okolicznościach. Nagle na pomost wbiegła jedna z dziewczyn z obsługi. Wyglądała na przestraszoną. A za nią wparowało dwóch kolesi. Jednego, szczupłego blondyna, znałem, pracował w jednym z naszych klubów. Obaj byli podpici i chyba nakoksowani.

– Ej, mała, podobno masz się nami zajmować? – Blondyn zaśmiał się i podszedł do kelnerki.

– Dlaczego nie chciałaś obciągnąć koledze? Chyba poskarżymy się na obsługę! – Drugi wielki koksiarz, rodem z osiedlowej siłki, rechotał grubym głosem. Patrzył na dziewczynę jak na zwierzę w potrzasku.

Siedziałem na wiklinowym fotelu, skryty w pnączach róż. Romantycznie, wiem. Westchnąłem i pokręciłem głową. Dzisiaj chciałem się wycizlować, a nie uczyć młodziaków, jak NIE należy się zachowywać.

– Lalka, patrz na mnie, jak do ciebie mówię! – Blondyn podszedł do dziewczyny i złapał ją za ramię.

Odstawiłem szklankę z niedopitym drinkiem i powoli wyłoniłem się z różanych pnączy. Niczym, kurwa, różany bóg wkurwu, któremu nie dane było dopić swojego złotego nektaru.

– Co? Co ty, kolo? – Nakoksowany ruszył do mnie.

Blondyn nie zdążył zareagować, bo bez słowa kopnąłem gościa w szyję i jednym szarpnięciem wrzuciłem do jeziora. Dziewczyna krzyknęła, a blondasek podszedł do mnie i zaczął się tłumaczyć.

– Katan, sorry, Jajo jest młody, dopiero go wdrażam, nie wiedział, że to...

Nie słuchałem. Złapałem go za gardło, oparłem o słupek i uniosłem. Majtał nogami w powietrzu.

– W dupie mam, że on nie wiedział – powiedziałem cicho, patrząc w przerażone oczy blondasa. Kątem oka dostrzegłem, że wparował tu Pako z ekipą, ale gdy mnie ujrzeni, zatrzymali się mniej więcej w połowie tarasu i z zainteresowaniem obserwowali sytuację. Miętus, który miał pod sobą żołnierzy, objął się ramionami i z wkurwem w oczach patrzył na wijącego się w moim uścisku gościa. – Jak dziewczyna mówi NIE, to znaczy właśnie to słowo.

– Ja. Nie... – zaczął. Puściłem gnoja, upadł przy moich stopach jak zmięta szmata. Z tyłu z wody zaczął się gramolić ten cały Jajo, plując i kaszląc. Pochylił się i oddychał ciężko. Patrzył na mnie wkurzonym wzrokiem. Chętnie wbiłbym mu jeden z moich noży w oczodół, ale nie chciałem urządzać bossowi krwawej imprezy. Bo noże oczywiście przy sobie miałem, jakby ktoś pytał.

– Słuchaj, gościu... – Koks nadal próbował, ale Miętus pokręcił głową i podszedł do niego.

– Kupo sterydów, to Katan – powiedział krótko, patrząc na mnie ze skrucą. – Sorry za tego debila. Jest u nas tydzień.

Wzruszyłem ramionami. Jajo o mało co się nie zesrał, kiedy usłyszał moją ksywkę. A może i nawet popuścił, nie zamierzałem sprawdzać. Blondas stał ze spuszczoną głową, jak uczeń przyłapano na paleniu szlugów w szkolnym kiblu.

– Jak któryś z was, miękkich faj, jeszcze kiedyś będzie molestował jakąkolwiek dziewczynę, to was zabiję – stwierdziłem spokojnie. Wiele mnie kosztowało wypowiedzenie aż tylu słów naraz. Ponownie. Ale byłem przekonany, że gnojki doskonale wiedzą, iż mówię prawdę. – A teraz na kolana, kurwy, i przeproszać panią.

Obaj popatrzyli na mnie przerażeni. Dziewczyna zaczęła machać rękami i kręcić głową, ale podszedłem, objąłem ją i szepnąłem:

– Mogę ich zabić, jeśli chcesz.

Zaczęła jeszcze bardziej kręcić głową i krzyknęła:

– Nie, nie, to niech już przeproszą.

Uniosłem brew.

Goście opadli na deski.

Pako stanął za nimi i powiedział ostro:

– Czołgać się, pizdy.

No i się czołgali. Przeprosili ją, a potem każdy z nich poszedł do kuchni i pomagał w obsłudze gości.

Uwielbiałem to z Pako. Edukacja. Wciąż było jej mało u tych pseudogangusów, którym się wydawało, że bycie wielkim macho to wożenie się beemką i traktowanie kobiet jak szmaty. Nie tędy droga, a na pewno nie w naszej organizacji. Miałem szacunek nawet do kurew!

Nie miałem szacunku tylko do jednej osoby.

Do matki.

*

Jeździłem do niej dwa razy w miesiącu. Była po odwyku i próbowała wrócić do życia. Nie chciałem jej w tym pomagać, ale nie mogłem jej też zostawić. Zamieszkała w naszym starym domu w Radwanicach, a ja powoli go remontowałem. Przyjeżdżałem tam, robiłem zakupy, pilnowałem ekipy, której zresztą nie trzeba było pilnować, bo robotnicy doskonale wiedzieli, co mają robić. Zamontowałem kamery, miałem podgląd na chatę i na samą matkę. Kontrolowałem ją. I widziałem, jak się miota, jak wyrzuty sumienia, żal, rozpacz notorycznie przejmują nad nią kontrolę. Czy karmiłem się jej bólem? No jasne, że tak. Chociaż własnego miałem aż nadto. Ale mój był schowany za fasadą milczenia. A jej... unosił się i zdawał się przenikać przez pory mojej skóry. A mnie sprawiało to niebywałą przyjemność.

Dzisiaj też przyjechałem do domu, w którym się urodziłem, a w którym umarło moje dzieciństwo. Matka siedziała w fotelu i czytała jakąś książkę. Wokół było posprzątane, oczywiście jak na warunki remontowe, bo teraz fachowcy robili łazienkę. Kładli nowe kafle i wymieniali sanitarium.

Rozpakowałem zakupy i wsadziłem je do lodówki. Matka podeszła nieśmiało, ścisnęła przy tym dłoń. Widziałem, że się mnie boi. Odczuwałem w związku z tym nieokreśloną satysfakcję.

– Pozwól, że się dołożę do tego remontu.

– Z czego? Z marnej renty? Nie starczyłoby ci nawet na norę na obrzeżach Wrocka.

– Wiem. Dziękuję ci za pomoc, za ten dom...

– Nie dziękuj – mruknąłem. – Jestem zadaniowcem.

– Jesteś moim synkiem. – Spojrzała na mnie smutno.

Pokręciłem głową.

– Nie uderzaj w te nuty. – Pozbierałem torby i wrzuciłem do pojemnika na papier. – Pilnuj się – warknąłem i już zmierzałem do wyjścia.

– Jędrzej... – Słaby głos matki przebił się przez warkot szlifierki dochodzący z łazienki.

– Katan. Nie zapominaj! Tylko Katan! – rzuciłem, odwróciłem się, po czym wybiegłem na zewnątrz.

Czasami zastanawiałem się, dlaczego wciąż to sobie robię. Powinienem sprzedać ten dom w cholerę, zerwać kontakt z matką i zapomnieć. Ale nie mogłem. On tu ze mną był, żył, wciąż widziałem go we wspomnieniach, słyszałem jego głosik. Mój brat wciąż przebywał tu razem ze mną, chowając się przed przekleństwem, które sprowadziła na nas nasza zaćpana mamuśka. A ja wciąż go kochałem. I w cholernie dziwny sposób kochałem także i ją. Nie umiałem być jej synem, a jednak ciągle nim byłem. To dlatego nie potrafiłem mówić o sobie, swoich odczuciach, pragnieniach. Skaziła mnie, one obie mnie zniszczyły. A jednak wciąż żyłem. I trwałem. A ona cierpiała. Dlatego musiała tu mieszkać, w tym domu, w którym zabiła jednego ze swoich synów, a drugiego zniszczyła emocjonalnie. Może nie własnymi rękami, ale to przez nią to wszystko się stało. I teraz pojawiałem się tu po to, aby jej ciągle i ciągle o tym przypominać. By tkwić nad nią jak ten mroczny anioł zemsty. I tak aż do śmierci. Mojej lub jej.

*

Tamtego wieczoru siedziałem w swoim mieszkaniu niedaleko placu Drobnera i czytałem książkę. Pako działał w Prozacu, a boss spędzał czas ze swoją żoną i synem, Antonim. Niedawno przejeżdżaliśmy klub w Sopocie. Reno nawiązał kontakty z kartelem z Ameryki Południowej i wyjechał z jego szefem do Trójmiasta. Tam dopięli warunki wspólnego biznesu i niebawem mieliśmy budować własny punkt rozdzielczy oraz laby nieopodal Wrocławia. Wszystko rozwijało się błyskawicznie i wręcz idealnie. A wówczas nastąpiło to cholernie popołudnie...

Kiedy zadzwoniła moja komórka i zobaczyłem imię Pako, nie spieszyłem się z odbieraniem. Pewnie coś w klubie albo kolejna głupia propozycja wspólnej randki lub po prostu dzwonił, aby mnie powkurwić, tak jak on to potrafił. Ale okazało się, że to co innego.

– Tak? – powiedziałem i usłyszałem zdyszany głos przyjaciela.

– Szpital na Borowskiej. Był zamach na Reno!

Rzuciłem wszystko, złapałem kurtkę, kluczyki od samochodu, wsunąłem buty na stopy i w błyskawicznym tempie znalazłem się na dole. Do szpitala dojechałem w piętnaście minut. Byli tam już nasi ludzie, a Pako siedział w moją stronę z grobową miną. Poczulem ból w sercu, chociaż sądziłem, że już większego odczuwać nie mogę.

– Jak on?

Złapał mnie za ramiona.

– Kurwa, mów... – szepnąłem.

– Żyje. Jest ranny. Ale... – Drugi raz w życiu ujrzałem w oczach przyjaciela łzy. – Benita...

– Przeknął ślinę.

– Co z nią? – spytałem, cały drżąc. Nie chciałem, aby wypowiedział te słowa, bo doskonale wiedziałem, co usłyszę.

– Nie żyje. Kula przeleciała przez Leona i utkwiała w jej sercu. Zmarła przy nim.

– Kurwa, kurwa... – szeptałem, a Pako mocno mnie uściskał. – Można do niego wejść?

– Tak. Jest przytomny.

Weszliśmy na OIOM. Pielęgniarki i lekarz obrzucili nas przestraszonymi spojrzeniami. Na korytarzu przed wejściem na salę roило się od naszych ludzi. Miętus organizował ochronę, a Pako załatwiał sprawę z policją.

Reno leżał na łóżku, miał obandażowany tors, podłączony był pod kroplówkę, a także urządzenia monitorujące czynności życiowe. Patrzył na nas spokojnym wzrokiem. Za spokojnym. To przeraziło mnie bardziej, niż gdybym zobaczył w jego oczach czystą rozpacz. Albo wściekłość, żal, cokolwiek...

– Katan – powiedział do mnie swoim zwykłym głosem.

– Tak, boss?

– Jesteś bezpośrednio odpowiedzialny za ochronę mojego syna. Zamieszkaś u nas, w mieszkaniu dla żołnierzy.

– Tak jest.

– Mały jest pod opieką pani Hali. Spakuj się i jedź do Wysokiej.

– Oczywiście.

– Za godzinę mam mieć informację, kto jest odpowiedzialny za ten atak. – Reno przemawiał spokojnie, ale jego puls przyspieszył. Widzieliśmy to na monitorach i oczywiście słyszeliśmy. – Mój wuj to ustala.

– Jesteśmy do twojej dyspozycji, szefie – odezwał się dziwnie zachrypniętym głosem Pako. Serce biło coraz szybciej, a Reno wbijał w nas spojrzenie.

– Zabili moją żonę. – Jego wzrok nadal niczego nie wyrażał. Głos był spokojny, ale puls szalał. – A teraz my zabijemy ich. Ktokolwiek to nie był lub nie byli.

– Tak jest, boss – odpowiedzieliśmy zgodnie.

W tym momencie do sali wparował zirytowany lekarz i popatrzył na nas ze złością.

– Wiem, że chcecie, panowie, pomóc swojemu przyjacielowi, ale tak nie można. Pan Goła musi odpoczywać. Proszę, abyście już wyszli.

Spojrzeliliśmy na szefa, a on tylko nieznacznie mrugnął.

– Zostawimy tu ochronę – stwierdziłem. – Trzymaj się, boss, zajmę się małym. – Dotknąłem lekko dłoni Reno.

- Wiem, Katan.
- Jesteśmy z tobą, szefie. – Pako także niezdarnie poklepał go po przedramieniu.
- Idźcie już. Jutro ustalimy, co dalej.
- Tak jest.

Gdy wyszliśmy, spojrzałem ciężkim wzrokiem na Piotrka. Jego usta zmieniły się w wąską linię.

- Kto to mógł być? – Zmarszczyłem brwi.
- Nie mam pojęcia. Ale wiesz co? – Zaciskał miarowo szczęki w tłumionej z trudem wściekłości.
- Wiem. – Kiwnąłem głową. – Zabijemy ich.
- Zabijemy.

*

Reno wyszedł ze szpitala po dwóch dniach. Po tygodniu odbył się pogrzeb jego żony. Uroczystość była kurewsko smutna. Reno wyglądał, jakby ktoś wyciosał go z granitu, Antoś niewiele pojmował, matka Benity płakała, jej koleżanki także. Nienawidziłem pogrzebów. A jeszcze bardziej nienawidziłem skurwieli, którzy podnieśli rękę na moją rodzinę. Tak, Pako i Reno stanowili moją rodzinę i wiedziałem, że wskoczyłbym za nimi w ogień. Sam nie miałem krewnych i czułem, że tego właśnie mi brakuje. Kilka dni po pogrzebie zostałem wezwany do Prozaca, gdzie mieliśmy red alert. Czerwony alarm zawsze uruchamialiśmy, gdy działo się coś poważnego. Wiedziałem, o co chodzi. Zostawiłem swoich dwóch najlepszych żołnierzy na straży przy pani Hali i synku Reno. Zresztą dom bossa wyglądał teraz jak forteca, nikt nie miałby najmniejszej szansy, aby się do niego wedrzeć.

W Prozacu byli już oczywiście Reno, Pako, a także Miętus i jego zaufani żołnierze. Szef patrzył na nas tym swoim wzrokiem bez wyrazu, od którego człowiekowi zimne dreszcze sunęły po plecach.

- Wiem, kto jest odpowiedzialny za zamach na mnie i zabójstwo mojej żony – powiedział spokojnie, jedynie przy słowie „żona” leciutko zadrżał mu głos. – Niejaki Aristow. Członek braci.
- Chodzi o układ z kartelem? – spytał Pako, a ja tylko pokiwałem głową.
- Tak, jesteśmy za dużym graczem, mieszą im szyki. Postanowili się mnie pozbyć. Ale nie wyszło... – Reno wypuścił powoli powietrze. – Mieszkają w Piasecznie. Mam wszystkie namiary.

– Jak to zrobimy? – spytałem spokojnie.

– Jak zawsze. Wejdziemy i posprzątamy. Jesteście moją obstawą. – Popatrzył na nas surowym wzrokiem. – Sam się tym zajmę. Odstrzelę im pierdolone łby.

I tak się stało. Reno zabił Aristowowa i jego żonę, bo akurat była razem z nim. Bez mrugnienia okiem. Bez chwili wahania. Czułem jego nienawiść, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby w ogóle go to nie dotknęło. Ale ja doskonale wyczuwałem jego wibracje i wiedziałem, co rykuje mu się przed oczami. Zakrwawione ciało jego ukochanej żony, matki jego syna. Benity Goli.

*

Od tamtych wydarzeń minęło pięć lat i wówczas wszystko się zmieniło. W domu bossa pojawiła się Maria Fratecka, opiekunka Antoniego. U chłopca już wcześniej zdiagnozowano zespół Aspergera. A Maria okazała się całkiem inną osobą niż ta, za którą się podawała.

Ale zanim się o tym dowiedzieliśmy... Do mojego życia wkradła się ta kobieta... TA blondynka, i od pierwszego momentu doprowadzała mnie do pierdolonego szału. Wszystko zaczęło się pewnego wieczoru, gdy Maria, która, swoją drogą, w równym stopniu mnie irytowała, co rozbawiała, imprezowała w Prozacu. I bawiła się tam ze swoimi koleżankami. Boss nakazał dać im VIPowską łóżkę, a drinki były na koszt firmy. A ja siedziałem jak ten stalkujący debil w gabinecie Pako, w którym znajdowało się centrum dowodzenia Prozakim, i śledziłem na ekranie blond piękność, która okazała się przyjaciółką Marii. Była w równym stopniu piękna, co bezczelna. Wysoka, miała około metra siedemdziesięciu pięciu, o długich, zgrabnych nogach, fajnym tyłku i jeszcze lepszych cykach. Przywoływała na myśl te wszystkie kobiety wampy, które w latach dwudziestych ubiegłego wieku doprowadzały facetów do szaleństwa albo do samobójstwa. Femme fatale. Idealne określenie.

Tak więc śledziłem na ekranie, jak bawiła się Maria i jej przyjaciółki, w szczególności ob-

serwując jedną z dziewczyn. Na to wszystko wparował Pako, który oczywiście od razu zaczął mnie wkurwiać.

– O ja pierdołę. Katan w końcu zawiesił wzrok na jakiejś lasce. I nie chce jej wyśmiać ani ośmieszyć.

– Po co tu przyszedłeś? Pilnuj klubu – burknąłem.

– Spokojnie, Jędrzejku, wszystko pod kontrolą. Pokaż... – Zajrzał mi przez ramię i zagwizdał, a ja miałem ochotę jebnąć mu z łokcia. – No, no, co za kociak.

Spojrzałem na niego wkurwionym wzrokiem. Uniósł dłonie w pokojowym geście.

– Spokojnie, trzymaj te swoje nożyki z dala ode mnie. Jak ci się podoba, to idź tam i postaw jej drinka. – Kiwnął głową w stronę widocznych na ekranie dziewczyn, które świetnie się bawiły i wyglądały już na dobrze zrobione.

– Mają za darmo. – Wzruszyłem ramionami.

– I co z tego? Trzeba jakoś zagaić. Ja tam pójdziesz i będziesz się tylko gapił, wiadomo, że laska się przerazi.

Pokręciłem głową.

– I tak się przerazi – szepnąłem.

Mój przyjaciel westchnął.

– Jeśli poczułeś coś na widok TEJ właśnie dziewczyny, to nie odpuszczaj, stary. – Klepnął mnie w ramię.

– Nic nie poczułem.

Od dalszej inwigilacji, skrupulatnie prowadzonej przez kumpla, który czasami sądził, że wystarczy podejść, uśmiechnąć się i pstryknąć palcami na barmana (choć w jego przypadku często to działało), uratował mnie dzwonek mojej komórki. To był boss, wzywał mnie do gabinetu.

– Tak? – spytałem, gdy pojawiłem się w pokoju Reno.

– Trzeba rozwieźć do domów koleżanki Marii.

– Dobrze. Zawiozę ją. – Kiwnąłem głową.

– Ją odwiozę sam – oznajmił szef, a ja tego nie skomentowałem. Zdziwiłem się, owszem, ale wrażenia zostawiłem dla siebie. Jak zawsze.

Zatem czekałem na koleżanki Marii. W końcu wyszły z Prozaca. Mój wzrok samoistnie powędrował do wysokiej pięknej blondynki. Była lekko wstawiona, roześmiana i... taka śliczna. Pierwszy raz w życiu poczułem coś dziwnego w okolicy żołądka, a może serca? Puls mi przyspieszył, w ustach zrobiło się sucho, a po skórze przechodziły dreszcze. Miałem gorączkę? Pojechało mnie całkowicie? Pragnąłem, aby dziewczyna wsiadła do mojego samochodu, ale jednocześnie nie chciałem tego. To mogłoby... wywołać lawinę, na którą nie byłem gotów, której się bałem, której cholernie chciałem. Alina, bo tak miała na imię przyjaciółka Marii, wsiadła oczywiście do mojego samochodu, zajmując miejsce tuż obok mnie. Czułem jej wzrok na sobie – śmiała się do mnie, mrugała i ewidentnie flirtowała. Nie miałem pojęcia, jak na to zareagować. Przez moją głowę przetaczał się istny huragan myśli, skóra stała się wrażliwa na dotyk, bo ta ekspansywna kobieta nieustannie mnie dotykała.

– Jesteś ochroniarzem małego Antosia, prawda? – Jej palce na moim przedramieniu. Muśnięcia dłoni paliły nawet przez skózaną kurtkę.

– Tak... – wykrztusiłem cudem. Moje gardło płonęło, czułem, jak zaciska się coraz mocniej, uniemożliwiając nawet oddychanie.

– Maria mi mówiła. – Dziewczyna pochyliła się do mnie. Owiał mnie zapach jej perfum, bardzo przyjemny zresztą, alkoholu i jej samej. Przełknąłem gwałtownie ślinę. Miałem wrażenie, że zaraz się uduszę.

– Okej.

– Nie jesteś zbyt rozmowny, co?

Wzruszyłem ramionami. Na szczęście podjeżdżaliśmy już przed budynek na Jagodnie, gdzie mieszkała. Pomyślałem, że zaraz wyjdzie z mojego samochodu i uwolnię się od jej natarczywości, zapachu, tembru jej głosu, uśmiechu...

– Ależ ty masz piękne oczy! – krzyknęła, gdy zatrzymałem się na chodniku, a światło latarni oświetliło wnętrze wozu. – Zielone, cudowne! Wow! – Znowu mnie dotknęła, a ja chciałem krzyknąć... Aby przestała. Aby dotknęła mocniej!

– Jesteśmy – burknąłem, bo nie byłem w stanie powiedzieć nic więcej.

– Ach tak! – Zaśmiała się i szturchnęła ramieniem moje ramię. – Może dasz mi swój numer? Zjemy coś na mieście albo jakieś kino? Nie masz chyba dziewczyny? A może masz? – inwigilowała.

– Nie.

– Nie masz dziewczyny?

– Nie daję numeru – wykrztusiłem z trudem.

Zauważyłem konsternację na jej twarzy, a także coś na kształt urazy. No tak, pewnie nie była przyzwyczajona, że mężczyźni jej odmawiali. Na samą myśl o innych facetach w jej pobliżu poczułem wściekłość i chęć mordy. Ale co ja mogłem jej zaoferować? Byłem zniszczony. Nie nadawałem się do związków. Żadnych.

– A ja nie proszę o numery – odparła i zapalała za kłamkę. Kiedy znalazła się już na zewnątrz, pochyliła się i spojrzała na mnie. A ja na nią. Kurwa, jaka ona piękna! – Ale łatwo się nie poddaję! Pa, Katan! – Pomachała mi, przesłała całusa i pobiegła w stronę bramy.

A ja... no cóż... uśmiechnąłem się sam do siebie i wiedziałem... po prostu wiedziałem, że to dopiero początek.

*

Znowu miałem ten sen. Tak prawdziwy. Taki realny...

Jacusi chciał, abym poczytał mu bajeczkę. Mama nie miała czasu na takie rzeczy, bo ciągle jej nie było albo przychodziła zmęczona, albo z jakimiś wujkami. Potem przyjechała do nas jakaś pani ładnie ubrana i słyszałem, że powiedziała mamie, że jeśli nie da rady się wziąć w garść, to pojedziemy do innej rodziny, Nie chciałem nigdzie iść, miałem tu swój pokój i swoje zabawki. Czasami byliśmy głodni z Jacusiem, ale nauczyłem się robić kanapki, a nawet jajecznicę. Mama robiła zakupy, a jak zapomniała, to pani Jadzia z naprzeciwka przynosiła nam jajka, ser, chleb. Zawsze głaskała mnie po głowie, ale była smutna. Wzdychała i szeptała: „Oj, Jędrus, Jędrus. Biedaku”. Wcale nie byłem biedny. Miałem braciszka, Jacusia, mieliśmy siebie nawzajem i to było super. Byłem jego starszym bratem i chociaż miałem dopiero sześć lat, to czułem się co najmniej o tyle samo starszy. Jacek niewiele jeszcze pojmował, tęsknił za mamą, ale już wiedział, że jak przychodzą „wujkowie”, albo gdy mama wygląda, jakby chodziła na śpiąco, nie należy się do niej zbliżać. Wówczas siedzieliśmy w naszym pokoju koło łóżka, pod kocem, gdzie zrobiłem nam bazę. Czytałem Jacusowi bajki, opowiadałem, że pojedziemy kiedyś nad morze, a on pytał...

– Czy mama też?

– Tak, mama też.

Dawaliśmy radę. Do czasu. Do momentu, kiedy nasza mama postanowiła... „wziąć się w garść”. I zaprosiła do naszego domu, do pomocy... ją. Czarownicę. Zawsze tak o niej mówiła, i my także tak ją nazywaliśmy. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem – odkąd pamiętam – nienawidziła mnie, a ja na początku się jej bałem, ale potem także ją nienawidziłem. Kazała mówić do siebie „babciu”, a mi nie chciało to przejść przez gardło. Była wysoka, bardzo chuda, żeby nie powiedzieć koścista, miała długie czarne włosy, które spinała w kok tak ciasny, że miałem wrażenie, że wrywa je sobie przy tym upinaniu. Nigdy się nie uśmiechała, tylko patrzyła na mnie brązowymi oczami i zaciskała wąskie usta tak mocno, że aż bieląły. Była czarownicą. Tak nazywała ją mama. To dlaczego... zaprosiła ją do naszego domu?

Dzisiaj znowu zostaliśmy sami, a ona... czarownica... siedziała przed wyłączonym telewizorem i coś mamrotała do siebie. Odkąd pojawiła się u nas, nie mogliśmy oglądać bajek i musieliśmy być cicho. Ciągle musieliśmy być cicho, a szczególnie ja. Nienawidziła, gdy się odzywałem, chociaż przy niej starałem się robić to jak najrzadziej i jak najciszej. Ale Jacusi tego nie rozumiał, chciał się bawić, chciał, abym mu czytał albo opowiadał o naszej wycieczce nad morze.

– Pocitamy baję? – Zaczął ciągnąć mnie za rękaw, kiedy stałem przy drzwiach naszego pokoju i nasłuchiwałem, czy może mama wraca. Ale jej nie było.

– Tylko cichutko. – Przytknąłem palec do ust, a braciszek zachichotał.

Schowaliśmy się pod kocem i zaczęłem czytać bajkę o kotku, który szukał swojej mamusi. Bardzo lubiłem tę bajkę, bo kończyła się dobrze, kociak znajdował mamę, ta się cieszyła i przytulała swoje dziecko. Nas mama rzadko przytulała, bo najczęściej spała albo była nieobecna. Czasami, gdy miała dobry dzień, gotowała nam makaron z serem, posypywała go cukrem i cynamonem i żar-

towała. Był wówczas taka ładna, chociaż jej twarz wydawała się ciągle zmęczona. Ale liczyłem na palcach te nieliczne momenty z naszego życia, z dzieciństwa, kiedy naprawdę była mamą. Kochałem ją wtedy całym sercem.

Teraz czytałem Jacusiowi bajkę, a z pokoju obok dochodziło miarowe mamrotanie. Potem dotarły do nas jakieś hałasy. Wróciła mama! Wziąłem Jacusia za rękę i poszliśmy do salonu, w którym sypiała. Leżała na łóżku, znowu miała nieobecne spojrzenie, śmiała się do siebie, a potem zasnęła. Odwróciłem się i chciałem zabrać Jacusia, ale na naszej drodze stanęła ona. Patrzyła na mnie oczami, w których płonął ogień. Wyglądała, jakby miała gorączkę.

– Kto pozwolił ci wyjść z pokoju? Niedobry gówniarzu... – wyszczała zachrypniętym głosem, który przyprawiał mnie o dreszcze. Jacuś schował się za mną.

– Chciałem... – każde wypowiedziane słowo bolało mnie niemalże fizycznie – przywitać się z mamą.

– Wasza matka śpi. A ty, jak coś chcesz, to masz pisać! – warknęła czarownica i popchnęła mnie w stronę naszego pokoju. – Nie chcę słyszeć twojego cholernego głosu!

– Jacuś musi coś zjeść – wyszeptalem. Sam także czułem głód, ale braciszek był najważniejszy.

– Masz, daj bratu. – Łaskawie podała mi jogurt truskawkowy i rogalika oraz zimne mleko.

Poszliśmy szybko do naszego pokoju, tam nakarmiłem Jacka i sam dojadłem końcówkę rogalika, bo on już nie chciał. Gdy zasnął, położyłem się obok niego na łóżku, przykryłem kocem i zasnąłem. Znowu śniłem o chłopcu, który nie miał ust.

*

Tamtego dnia, kiedy jeszcze wydawało mi się, że wszystko jakoś się ułoży, znowu zostaliśmy sami. Mamy nie było już od kilku dni. Dzień wcześniej odwiedziła nas ta pani z urzędu, aby sprawdzić, czy u nas wszystko w porządku. Czarownica zachowywała się bardzo uprzejmie, wcześniej nas ładnie ubrała, nakarmiła, kazała usiąść w salonie przy stole, dała kredki i kartki. Gdy przyszła pani, rysowaliśmy, a w domu było posprzątane. Czarownica powiedziała, że jej córki nie ma, bo pojechała na rozmowę w sprawie pracy w sklepie. Pani z urzędu coś zanotowała, pogłaskała nas po głowach i wyszła. Chciałem krzyknąć za nią, żeby nas nie zostawiała, ale oczywiście nie mogłem z siebie wydobyć ani jednego dźwięku. Zauważyłem, że przy obcych coraz częściej nie potrafiłem się odzywać. Od września miałem iść do zerówki i już się bałem, jak będę rozmawiać z innymi dziećmi. Jedyne przy Jacusiu umiałem swobodnie mówić, ale on był jeszcze zbyt malutki, aby ze mną rozmawiać. Kiedy pani w białej bluzce wyszła, czarownica spojrzała na nas ze złością w ciemnych oczach.

– Do pokoju! Już!

Zerwałem się, wziąłem Jacusia za rękę i poszliśmy do naszego ciemnego pokoju. Ostatnio przepaliła się żarówka i nikt nam jej nie zmienił. Na całe szczęście miałem latarkę, którą kiedyś zabrałem z szuflady w kuchni i ukryłem przed czarownicą. Ale Jacuś i tak się bał. Więc włączyłem latarkę i zacząłem czytać mu bajkę. Ale ona musiała to usłyszeć. Z trzaskiem otworzyła drzwi.

– Mielście spać! Co to za hałasy?!

Jacuś zaczął cicho chlipać. Wystąpiłem na przód, chowając brata za siebie.

– Czytałem bajkę. Na dobranoc.

– Ach... na dobranoc. No tak... – Podeszła do nas. Uśmiechała się, a Jacuś zaczął się uspokajać. Ale ja widziałem w jej ponurej twarzy coś, co wzbudziło we mnie alarm. Mocniej ścisnąłem rączkę brata.

– Pójdziemy spać – zacząłem.

Czarownica pokręciła głową.

– Chodź z babcią. Zrobimy kąpiel i nakarmię cię kaszką. – Wysunęła dłoń w kierunku Jacusia. On spojrzał na mnie, przyciągnąłem go mocniej do siebie. Ale czarownica miała więcej siły. Wzięła go na rękę i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, a ja zacząłem płakać, chociaż bardzo nie chciałem. Podeszła do mnie ze złośliwym uśmiechem. Popchnęła mnie w stronę szafy i już wiedziałem, co się stanie. Często mnie w niej zamykała za karę. Ale tym razem było inaczej. Związała mi rękę i zakneblowała usta. Potem złapała mocno za twarz:

– Ani słowa, mały pomioście szatana! Ani jednego słowa, bo zabiję twojego brata!

Trząsnęłam się ze strachu, poczułam, jak mocz leci mi po spodenkach. Nie chciałem płakać,

ale znowu zaszlochałem. Wtedy się zorientowałem, że mam problem z oddychaniem, więc się uspokoiłem. Nie mogłem zrobić nic, co jeszcze bardziej by ją zdenerwowało. Chciałem tylko odzyskać brata. Nie wiem, ile tam siedziałem, ale uderzyła mnie panująca w mieszkaniu cisza. Potem słyszałem, że chyba wróciła mama. Docierało do mnie jej mamrotanie i śmiech, a także odgłosy jej kręcenia się po mieszkaniu. Chyba znowu była chora, bo wtedy zawsze przewracała się i potykała o meble. Kiedy znowu zapadła cisza, zorientowałem się, że mama chyba poszła spać. Nie szukała nas. Nie zajrzała do naszego pokoju. Gdzie był Jacuś? Gdzie była czarownica? Zacząłem się szamotać, ale nie mogłem poradzić sobie z grubym sznurem, którym miałem związane ręce. Został przytroczony do rurki, na której wisały wieszaki. Nie sięgałem tam. Byłem słaby, zmęczony, głodny, mokry od własnych sików. Ułożyłem się na starym kocu i zasnąłem.

Obudził mnie krzyk.

Przeraźliwy krzyk.

A potem nagle ktoś otworzył drzwi szafy i kobiecy wrzask ponownie zaczął świdrować mi uszy. To była nasza sąsiadka, pani Jadzia.

A jeszcze później pojawiło się mnóstwo ludzi, panowie policjanci, panie w białych bluzkach, i zostałem zabrany do jakiejś izby dziecka. I już nigdy nie ujrzałem Jacusia. Ani czarownicy. A matkę... zobaczyłem dużo dużo później.

Te sny męczyły mnie bardzo często, ale umiałem sobie z nimi radzić. Ze wszystkim sobie radziłem, tylko nie z moim oporem wobec słów. To tkwiło w mojej podświadomości i skutecznie mnie ograniczało.

A teraz... ciągle wspominałem tę Alinę. I chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie nadaję się do budowania czegokolwiek z jakąkolwiek kobietą, to jedyną osobą, o jakiej nie mogłem przestać myśleć, była właśnie ona.

Sprowadziła na mnie mnóstwo kłopotów, ale zakochałem się w niej. Przeżywałem swoją pierwszą i niezwykle silną miłość. Byłem jednocześnie przekonany, że też jedyną.

Teraz, z perspektywy naszego dwuletniego związku... patrzę na piękną twarz Aliny, taką spokojną, taką szczęśliwą i bezpieczną, i ciągle nie mogę uwierzyć, że ta dziewczyna jest ze mną. Że mnie kocha, że wie o mnie wszystko, że mnie rozumie. I że... urodziła mojego syna. Wciąż pamiętam ten moment, gdy oznajmiła mi, że jest w ciąży.

Wówczas... poczułem ogromny strach, a jednocześnie wielką radość.

– W ciąży... – powtarzałem, jakbym się zaciął.

– Tak, kochany. W ciąży. – Patrzyła na mnie niebieskimi oczami, w których czaiły się bezgraniczna miłość, ale i obawa. Doskonale wiedziałem, czym jest ona podyktowana. Byłem niebezpiecznym człowiekiem, dźwigałem na barkach ogromny ciężar przeszłości i wciąż walczyłem z bolesnymi wspomnieniami, które często utrudniały mi normalne życie. A tu ciąży...

– Ja pierdołę... Będę miał dziecko... – Zareagowałem może w mało subtelny sposób, ale w tej chwili czułem się tak, jakby całkowicie odcięto mi zasilanie.

– Mój kochany romantyczny Katan. – Alina roześmiała się i pocałowała mnie w usta.

– Kiedy... jak to?

– Ach... nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Wiele razy nas poniosło.

– Wszystko... – Przełknąłem ślinę, czując, że gardło ponownie mi się zaciska. Alina od razu zauważyła, co się dzieje. Objęła mnie mocno i uspokajająco głaskała po policzku. – Wszystko w porządku? Z tobą i z... naszym dzieckiem?

Uniosła twarz i spojrzała na mnie. Widziałem w jej oczach ulgę i radość.

– Tak, kochany. W jak najlepszym.

– Alina... Kocham cię – jęknąłem i zacząłem ją całować.

Teraz nasz syn miał ponad rok i był taki wspaniały... tak cudowny, że nie potrafiłem tego opisać słowami. I nie z powodu tego, że nie mogłem ich wypowiedzieć, ale dlatego, że nie stworzono słów, które by określały to, co czułem, patrząc na jego roześmianą twarzyczkę i śliczne zielone oczy.

Byłem taki spokojny i taki szczęśliwy. Tylko jedno wciąż mnie zatruwało. Ona. Dowiedziała się, że mam dziecko i koniecznie chciała je zobaczyć. Alina nie naciskała, ale i nie była przeciwna. Jej starzy odwiedzili nas kilka razy, matka od razu zakochała się we wnuku. Ojciec wydawał się dumny, ale mając na uwadze to, jak traktowali moją kobietę w przeszłości... nie byłem zbyt po-

zytywnie do nich usposobiony. Ale... moja matka... to coś całkiem innego. Przez jej nałóg zginął mój brat. Przez jej nałóg nie miałem dzieciństwa. Przez jej nałóg przestałem się komunikować i do dzisiaj miałem z tym problem. Nie potrafiłem wybaczyć, a przede wszystkim nie potrafiłem zapomnieć.

– Dzwoniła twoja mama. Pytała, czy może przyjść. Po raz kolejny. – Alina spojrzała na mnie, kiedy wyszedłem z pokoju Jeremiego.

– Niech dzwoni. Ciekawe, czemu nie rozmawia ze mną, tylko z tobą. – Wzruszyłem ramionami.

– Jędrzej... – Kiedy Alina zwracała się do mnie po imieniu, wiedziałem, że zapowiada się poważna rozmowa. Westchnąłem, usiadłem w fotelu i założyłem dłonie za głowę. Patrzyłem na moją śliczną żonę, która zajęła miejsce na sofie, podkulili długie nogi i wpatrywała się we mnie z troską oraz miłością. Tego też się ciągle uczyłem. Przyjmowania miłości, tego, że ktoś może się martwić o drugą osobę. Wciąż było to dla mnie nowością. Ale szło mi coraz lepiej, bo, po pierwsze, Alina okazała się zdolną i cierpliwą nauczycielką. A po drugie... sam teraz nieustannie się martwiłem i troszczyłem o syna. I przypomniałem sobie, jak to jest kochać bezgranicznie.

– Kochanie? – Spojrzałem na żonę, wiedząc, co zaraz usłyszę.

– Wiem, że to jest bardzo trudne. Ale ona się zmieniła. I chce odkupić wszelkie zło, które wyrządziła. Nie mówię, że masz ją co tydzień zapraszać na domowe obiady, ale pozwól jej zobaczyć wnuka.

– Nie potrafiła być matką, zniszczyła nasze dzieciństwo, przez nią zginął mój brat. Wiesz... jakoś nie potrafię o tym zapomnieć – odparłem spokojnie. Od dawna umiałem doskonale panować nad odczuciami, emocjami, po prostu chowałem je głęboko w głowie. Przy Alinie otworzyłem się już całkowicie. Potrafiłem rozmawiać z nią godzinami i nie wahałem się już wypowiadać tego, co we mnie siedziało. Nie spodziewałem się, że spotkam kogoś, przy kim będę mógł pokazać siebie całego, ale przez upór Aliny, przez jej determinację, a przede wszystkim przez wielką miłość, jaką mnie obdarzyła, zapanowałem nad własnymi demonami, uprzedzeniami, kompleksami, strachem i nauczyłem się rozmawiać z nią na każdy temat. Ale i tak często skrywałem negatywne emocje, a te szczególnie ogarniały mnie, gdy wracałem do mojej popieprzonej przeszłości. Wiedziałem, że matka cierpi, ale nie umiałem wywołać u siebie najmniejszego ukłucia żalu czy współczucia. Po prostu było to niemożliwe, bo przed oczami od razu stawało mi dwóch małych chłopców w brudnym pokoju, głodnych i takich cichych. I potwór, którego sprowadziła nasza matka, bo była zbyt zajęta sobą i własnym nałogiem. Tego nie potrafiłem ani zapomnieć, ani wybaczyć.

Ale wiedziałem, że moja żona będzie spokojniejsza, kiedy zamknę pewien rozdział w życiu. Dlatego... udałem się do Radwanic, do domu matki, i powiedziałem do niej spokojnie, kiedy wpatrywała się we mnie z nadzieją i miłością, których nie chciałem i nie potrzebowałem, a o których wciąż jednak myślałem:

– Możesz przyjechać w sobotę do Jeremiego.

Twarz matki rozjaśniła się w uśmiechu, ale ostrzegawczo uniosłem palec.

– Nie myśl, że kiedykolwiek staniesz się dla niego kimś bliskim. Niech ci nawet przez ułamek sekundy przez głowę nie przeleci myśl, że będziesz mogła z nim kiedyś zostać, zabrać go na plac zabaw albo gdziekolwiek. Nigdy na to nie pozwolę. Będzie jak na widzeniu sądowym. Pozwolę ci się z nim spotykać jedynie na moich warunkach i w mojej obecności. – Mówiłem to spokojnie, jednostajnym tonem, do jakiego przyzwyczałem matkę przez lata.

Kiwała głową i ścisnęła dłonie. Była zdenerwowana, jak zwykle w moim towarzystwie, ale i szczęśliwa. Irytowała mnie tym swoim pogodnym uśmiechem, ale jednocześnie w mojej głowie pojawiło się jakieś niewyraźne wspomnienie krótkich radosnych chwil z dzieciństwa, kiedy matka w miarę funkcjonowała, robiła nam makaron z serem, śpiewała piosenki, tańczyła w salonie i uśmiechała się do nas radośnie. Tak właśnie wyglądała teraz. A ja taką ją pamiętałem, zanim potwór, ta czarownica weszła do naszego życia i je zniszczyła.

*

Matka miała niedługo przyjechać do naszego ładnego domu na wrocławskim Brochowie. Mieścił się przy ulicy Koreańskiej, blisko małego parku, do którego często chodziłem z synem na spacer. Alina wyglądała na wyluzowaną, ja na wkurwionego, czyli standard. Jeremi właśnie wybudził się z drzemki, zaraz miał zjeść zupkę i planowaliśmy wyjść do ogrodu, bo końcówka marca

była naprawdę bardzo ładna.

Wcześniej rozmawiałem z Pako, który oczywiście znał wszystkie moje sekrety i zapoznał się z moimi demonami. Zresztą działało to w obie strony. Reno teraz zajmował się Marią, gdyż ta była w końcówce zagrożonej ciąży. Ich córka miała urodzić się za miesiąc, więc razem z Pako wzięliśmy na siebie wszelkie zobowiązania związane z prowadzeniem klubów, a także naszego wspólnego biznesu z kartelem Carlino. Ale dzisiaj o czym innym chciałem pogadać z kumplem.

– Co tam, przyjacielu? Pamiętaj, że w sobotę mamy spotkanie z naszym kontaktem w Łagiewnikach.

Tam znajdowały się nasze laboratoria, ukryte w podziemiach legalnie działającej hurtowni budowlanej.

– Nigdy nie zapominam.

– Co masz taki głos? Stało się coś?

O tak, Piotr Pakosławski także znał mnie doskonale.

– Dzisiaj matka przyjeżdża na spotkanie z małym – powiedziałem prosto z mostu. Jak zwykle.

– I jak się z tym czujesz?

– Nie zadawaj mi pytań rodem z kozetki psychologa – warknąłem. – Jak mam się czuć? Chujowo.

– To czemu ją zaprosiłeś?

– Alina sądzi, że jak zamknę pewien etap, będzie mi łatwiej.

– Czyli robisz to dla swojej żony. Rozumiem motywację.

Pako, odkąd związał się z Kają, po uprzednim uratowaniu jej z łap handlarzy kobietami, teraz nieco inaczej patrzył na związki i wiedziałem, że dla swojej rudowłosej Nemezis także zrobiłby wszystko. Może nawet pogodziłby się ze starymi? Ale ona tego od niego nie oczekiwała. Zresztą nie miał z tym takich problemów jak ja.

– Czasami... mam wątpliwości.

– Jakiej natury? – spytał spokojnie.

– Może jestem zbyt ostry, zbyt pamiętliwy. Może powinienem odpuścić...

– Nie szarp się z tym, Katan. Rób to, co czujesz. Poza tym to, że matka spotka się z wami i zobaczy małego, niewiele w zasadzie zmienia. Ty wiesz, jak było i masz to w głowie. Ona też. Choć wyszła teraz na prostą, to zrobiła, co zrobiła. Przeszłości nie wymażesz. Najwyżej nauczysz się z nią żyć.

– Cały czas staram się to robić – szepnąłem.

– I zajeście ci to wychodzi. Nie analizuj, bo już widzę, jak twój matematyczny mózg rozkłada wszystko na czynniki pierwsze. Przyjmij rzeczywistość, jaka jest, i bądź sobą jak zwykle.

– Dzięki, stary. – Poczuję dziwną ulgę. Pako był mi jak brat, którego straciłem, za którym tęskniłem. Może to los nas połączył? Nie wierzyłem w takie rzeczy, miałem analityczny umysł. Tak często mówił przyjaciel. Ale zawsze czułem się dobrze, gdy rozmawiałem z Piotrkim.

– Zawsze i wszędzie. Trzymaj się.

– Ty też.

Matka przyjechała, a Alina chwilę wcześniej skończyła karmić małego zupką. Ubrałem go i wyszliśmy do ogrodu. Na patio przed domem ustawione były wiklinowe kosze do siedzenia i duży owalny stół. Mały dreptał po trawniku, moja żona go pilnowała. A ja wyszedłem po drugiej stronie na podjazd, aby otworzyć bramkę. Matka wysiadła z taksówki i popatrzyła z zachwytem na okazały dom, zbudowany na wzór kubistycznych brył o dużej ekonomii i ergonomii.

– Piękny, taki nowoczesny.

– Jesteśmy w ogrodzie. Wejdz. – Otworzyłem szerzej drzwi. Matka niosła jakieś paczki.

– Mam dla małego zabawki i upiekłam ciasto.

– Ty pieczesz?

– Wiesz, że tak.

– Hm, okej. Zapraszam.

Czułem się bardzo dziwnie, prowadząc ją przez mój dom. Jakbym funkcjonował w alternatywnej rzeczywistości, jakby moje stare życie tylko mi się przyśniło, jakbym nigdy nie miał Jacusia... Ukłucie w sercu, ostre jak moje noże, którymi tak umiejętnie się posługiwałem. Wziąłem dwa

szybkie wdechy, aby oczyścić umysł i nie oszaleć. Nie mogłem zrobić awantury we własnych progach, przy żonie i synu. Matka chyba zauważyła, że coś jest nie tak. Popatrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem.

– Jestem taka szczęśliwa, Jędrzej. I taka z ciebie dumna.

– Taaak. Wejdz do ogrodu, a ja rozpakuję ciasto. – Wskazałem patio, gdzie Alina czekała z Jeremim.

Mały siedział u niej na rękach, był nieufny wobec obcych. Obcych. Ta kobieta, która mnie urodziła, była dla niego obca. Może powinno tak zostać? Znowu dwa szybkie wdechy. Zająłem się paczką, którą przyniosła. Zrobiłem kawę w ekspresie, jednocześnie cały czas obserwowałem kobiety na tarasie. Alina postawiła Jeremiego na nóżki, a matka kucnęła i uśmiechała się do niego. Zainteresował się klockami duplo, które przyniosła. Nie potrafiłem wypowiedzieć słowa „babcia”. Wiedziałem, że nigdy nie będę umiał go wyartykułować. Tego byłem więcej niż pewien. Kiedy już wyrównałem oddech i stwierdziłem, że jakoś to przetrzymam, poszedłem na taras. Przyniosłem kawę i pokrojony sernik.

– O, upiekłaś ciasto, dzięki Anno. – Alina uśmiechnęła się do mojej matki.

– Ostatnio coraz lepszy mi wychodzi. Smacznego.

Zajęliśmy się jedzeniem, a ja obserwowałem, jak matka usiadła na kocu na patio, gdzie mały rozłożył kocki. Ogarnęło mnie nieokreślone wrażenie, że to się wcale nie dzieje. Nagle poczułem uścisk ciepłej dłoni na ręce.

– Kochany, jesteś cudowny. Naprawdę. Kocham cię. – Alina patrzyła na mnie pięknymi niebieskimi oczami, w których zakochałem się niemalże od pierwszego wejrzenia.

– Ty wiesz, jak mnie uspokoić – szepnąłem i pocałowałem ją w knykie.

Matka bawiła się z Jeremim, który przynosił jej klocki i kazał układać wieżę, a potem z lubością ją burzył. Obserwowałem zachowania tej kobiety, która była mi obca, ale też bliska jak nikt inny. Dwoistość doznań ostro mnie dobijała, ale nauczyłem się walczyć z destrukcją w mojej głowie. Miałem zbyt wiele za sobą, aby dać się porwać szaleństwu.

Kiedy zrobiło się chłodno, poszliśmy do domu. Tam Alina zaproponowała wspólną kolację, ale matka wyczuła chyba chłód bijący ode mnie i podziękowała.

– Muszę wracać, nie lubię jeździć po ciemności.

– To umówimy się na inny dzień, robię pyszną kaczkę z karmelizowanymi jabłkami. – Alina uśmiechnęła się zachęcająco.

Matka zerknęła na mnie i pokiwała głową. Wziąłem głęboki wdech.

– To prawda. To pokazowe danie mojej żony – odparłem swobodnie.

Radość, jaka wypłynęła na twarz matki, w jakiś dziwny sposób nie wywołała we mnie jak zwykle złości. Aż sam się zdziwiłem. Ale oczywiście nic to nie oznaczało. Choć stanowiło jakiś początek tego, czego tak bardzo chciała dla mnie moja żona. Oczyszczenia się i nowego rozdziału.

Wezwałem matkę ubera i odprowadziłem ją. Wcześniej pożegnała się z Aliną i małym. O dziwo podbiegł do niej i dał się wziąć na chwilę na ręce. Obserwowałem czujnie matkę. Chyba wyczuła mój chłodny wzrok, bo szybko oddała Jeremiego Alinie. Pogłaskała go tylko po główce, a on zrobił jej „papa”. Było to dla mnie takie dziwne, takie obce. Jakby zaćpana kobieta, która zapominała o swoich dzieciach, i ta ładna, uprzejma pani o łagodnym uśmiechu były dwiema całkiem obcymi dla siebie osobami.

Kiedy uber podjeżdżał, matka odwróciła się do mnie i poczułem jej chłodne dłonie na ręce. Powstrzymałem chęć wyrwania się z tego delikatnego uścisku.

– Dziękuję ci, Katan – użyła mojej ksywki, bo wiedziała, że nie lubiłem, gdy zwracała się do mnie po imieniu.

– Nie myśl, że to stanie się normą.

– Wiem. – Pokiwała smutno głową. – Ale jeśli dasz mi szansę, to może... wypracujemy coś... jakiś nowy początek.

– Nie obiecuję.

– Zrobię wszystko, aby...

– Co... naprawić? – Parsknąłem.

– Nie. Tego się nie da naprawić. Zrobię wszystko, aby mieć chociaż namiastkę rodziny.

– Okej. Zobaczmy. – Odsunąłem się i objąłem ramionami, patrząc na matkę z góry. Od-

wróciła się i zmierzała do samochodu. Kiedy otwierała drzwi, powiedziałem głośno:

– Możesz mówić do mnie Jędrzej.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się łagodnie. Była ładna i taka smutna. Moje serce skurczyło się w paroksyzmie żalu. Uniosła dłoń i pomachała mi. Odpowiedziałem tym samym.

A potem odwróciłem się i poszedłem do domu. Do mojej żony i syna. Jeśli miałem mieć nowy początek, to tylko z nimi. A matka... na to potrzebowałem czasu. Czas to rzecz względna. Dlatego... nie miałem pojęcia, ile będę go potrzebował.

*

Następnego dnia z samego rana przebiegłem sześć kilometrów, a później wsiałem do auta i pojechałem... do niego. Mały zadbane nagrobek, wiązanka, dwa niewielkie znicze. Przyjeżdżałem tu raz w miesiącu, ale opłaciłem opiekę nad grobem brata, tak więc zawsze było posprzątane. Gdy zauważyłem świeże polne kwiaty, zmarszczyłem brwi. Takie same często były w domu matki. Czyli musiała tu przychodzić. I bardzo dobrze. Miałem nadzieję, że robiła to jak najczęściej. I za każdym razem czuła tak samo silny ból, jaki i mnie ogarniał, kiedy się tu pojawiałem. Dzisiaj usiadłem na ławeczce i zapatrzyłem się na wyryte w kamieniu litery. Jacuś miałby teraz dwadzieścia siedem lat. Nie wiedziałem, co by robił, oby nie to, co ja. Ale istniałby. A tak istniał tylko w mojej pamięci jako mały chłopiec, który nawet nie zdążył zaznać życia. Nie nauczył się pisać, czytać, liczyć. Nie pojechał nad morze. Nie miał psa, kota, nie poszedł do przedszkola ani do szkoły. Nie miał dziewczyny, nie zrobił prawa jazdy. Zniknął ze świata, zabrany przez potwora w ludzkiej skórze. Chorego potwora, który nie powinien zbliżać się do dzieci. Tego potwora także już nie było, ale miałem pewność, że gdyby nadal żył, wziąłbym sprawy w swoje ręce. Nie dopuściłbym do sytuacji, w której on by istniał, a mój brat już nie.

Podniosłem się i dotknąłem chłodnego granitu.

– Sądysz, że mogę dać jej szansę? Naszej matce? – szepnąłem. Kamień rozgrzał się pod moim dotykiem. Nagle z góry coś spadło i uderzyło mnie w policzek. To był mały zielony listek, który już zdążył się wykluć, bo marcowe dni były naprawdę bardzo ciepłe. Dlaczego tak szybko odpadł od gałązki? Przecież nawet nie wiało. Pokręciłem głową.

Zbyt mocno to analizujesz, Katan. Po prostu zrób to, co podpowiada ci ten twój analityczny umysł.

Żyj.

Kochaj żonę i syna.

Lojalnie pracuj dla Reno.

Wkurzaj się i śmieję wraz z Pako.

Rób porządek na mieście.

Trenuj.

Czytaj.

Biegaj.

Rzucaj nożami.

I może... czasami pozwól swojej matce zwrócić się do siebie po imieniu.

I zobaczysz, co będziesz.

Może te nowe dane pozwolą ci stworzyć ten twój nowy początek.

Przeprowadzisz szybką analizę i dojdiesz do wniosku, że znalazłeś upragnione rozwiązanie.

KONIEC

**Całą opowieść o Katanie przeczytacie w pełnowymiarowej książce *Gangsta Paradise*.
Katan.**

